



(Ciąg dalszy.)

## POWIEŚĆ.

Dzieci same na drugim piętrze gościom drzwi otwierają i usługują ślepej babce i chorej matce, która ponoć nie długo kipnie na suchoty...

— Ileż jest tych dzieciaków?

— Troje. Dwie blade panienki i chłopak na nogach utrzymać się nie mogący, bo ma głowę, nie przymierzając, jak dynia.

— Ho, ho, aż troje! To rubel, jaki przynosim w domu się przyda?

— Ma się wie, że przydać się przyda. Bo tak Bogiem a prawdą, szczerze mówiąc, doktor jest człowiek dobry i ponoć nawet uczony, jeno mnie cni się, jak na niego patrzę, aż czarny od smutku i jak mruk wciąż milczy... chyba, że go zapytasz o jaką bolączkę, to wysłucha, odpowie i nawet lekarstwo zapisze.

Stróż pożegnał się i odszedł, pozostawiając agentów przy kuflach.

— Wiesz co? — rzekł Piperstein — mnie ta sprawa jakoś dziwnie pod lewem żebrem łechce, chociaż do łapania ryb podobnych, w różnych mętnych wodach, przyzwyczajony jestem oddawna.

— Bo ty, chociaż żyd, nie pasujesz do naszego rzemiosła. Nie wiem nawet, za co bierzesz często nagrody. Co dyabli by mnie obchodził taki tam psi syn, którego mam ująć i zaprowadzić do kozy? Tfu! zamordował hrabiego, kara mu się należy.. to okragłe jak obręcz i jasne jak słońce!

— Nie tak jasne, jak ci się wydaje!

— Daj spokój! wszystko go oskarża...

— Nie przeczę... a jednak...

— A jednak, co?

— Nic! każdy sobie myśli, jak mu jego własna głowa myśleć każe!

Umilkł i utkwiał oczy w odległej panoramie ulicy.

Mgła gęsta i wilgotna opadać zaczęła z zachmurzonego, jesienno nieba. W jej szarych, wlekących się nisko nad ziemią kłębach, rozpląwały się sylwetki przechodniów, tracąc na wyrazistości. Pomimo to, Piperstein dostrzegł w oddaleniu Żarskiego, zdążającego pośpiesznie do domu od strony magazynów cłowych.

— Otóż i on!

— Trzeba jednak przekonać się, czy się nie mylisz — powiedział Maślak. — Pójdę stróża zapytać.

Wyszedł z szynku i po chwili wrócił.

— Nasza zwierzyzna — szepnął do ucha koledze.

Zapłacili przy szykwasie za piwo, poczem Maślak wszedł do bramy i ukrył się pod schodami, a Piperstein zawołał dorożkę i pojechał nią do cyrkułu.

## |VI.

Dzieci zgromadzone w pokoju chorej, zapewniały Marcina, że „mateczka ma się dziś znacznie lepiej“.

W istocie, Klara spożyła śniadanie z większym niż zwykle apetytem. Przyniesioną przez męża pomarańczę i trochę winogron trzymała w dłoni i uśmiechając się szeptała:

— Dzieci się nie mylą... na prawdę czuję się zdrowszą... nawet chciałabym wstać...

Lecz Żarski nie zgodził się na jej żądanie, prosząc, by dziś jeszcze pozostała w łóżku. Poczem ucałował rękę żony, przeszedł do jadalnego pokoju.

Powrócił z miasta okropnie zmęczony. Złamały go doznane wzruszenia. Po nocy, bezsennie spędzonej, nie odzyskał jeszcze władzy nad sobą.

Rozwiązanie wczorajszego dramatu było mu dotąd nieznane. Usiadłszy, żeby nieco odpocząć, spostrzegł na stole numer „Kuryera Porannego“. Wziął go do ręki i zaraz na pierwszej kolumnie znalazł opis zbrodni.

Staruszką, pani Żarska, nie wiedziała jeszcze, co się stało w pałacu. Syn zatem — jej ukochany

syn — zrozumiał, że musi donieść matce o strasznym wypadku.

— Mateczko — rzekł drżącym głosem — moja biedna i droga mateczko, wczoraj wieczorem zamordowano hrabiego Jelskiego.

Ślepa, przechodząc wówczas koło stołu, potknęła się i zachwiała. Wzniosła ręce do czoła, a potem, opuszczając je bezwładnie wzdłuż ciała, runęła w ramiona Marcina, który poskoczył, żeby ją podtrzymać. Chwilę milczała. Następnie potok urywanych zdań i wyrazów z ust jej popłynął.

— O, mój Boże! czuję, że oszaleję... Umarł! zamordowany!... ojciec, który wyparł się swego dziecka... bogacz, którego obowiązkiem było ochronić nas od nędzy, a on odepchnął nędzarzy... zamordowany! To niepodobna! Wszakże, gdyś się z nim widział wczoraj, był zdrow... i pełen siły...

— Zamordowano go widocznie po mojem odejściu...

— Lecz kto?... kto go mógł zabić?

— Mamo... mateczko — prosił Żarski — nie trzeba mówić że byłem u niego... Nie mów o tem nikomu... Czy rozumiesz mamo? nikomu! Tajemnicy naszej nikt znać nie powinien. Gdy wchodziłem do pałacu, było już ciemno, a szwajcar mi się nie przyglądał. Wprawdzie długo nalegać musiałem, zanim murzyn... prawdopodobnie jego kamerdyner, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna wpuszczał mnie do pracowni, lecz światła nie były jeszcze zapalane, nie mógł więc widzieć mojej twarzy. W gabinecie rozegrała się straszliwa scena, którą ci dziś rano opowiedziałem, a która na zawsze wyrwała mi się w pamięci. Gdy leżałem ciębie, wściekłość mnie ogarnęła... Przypuszczam, że chciałem go zabić, lecz na czas się opamiętałem... i lekając się, bym nie oszalał z gniewu, krew mi bowiem biła do głowy... uciekłem. Nikt mnie nie widział, nikt mnie nie zna... o tajemnicy naszej zatem nikt się nie dowie...

— Uciekłeś niespostrzeżony... lecz bez kapelusza! Pozostawiłeś go w pokoju hrabiego... Czy nie pamiętasz, że na podszewce kazałeś wycisnąć pierwsze litery twego imienia i nazwiska? Ach, mój synu, mój synu! zdaje mi się, że jesteś zgubiony. Ciebie... ciebie o zbrodni obwinia!

— Kto ośmielił się obwinić mnie o zbrodnię, której nie popełniłem?! Ależ mamo, przecież bronić się potrafię. Czy mam minę zbrodniarza? Przypuszczam, że w uniesieniu... lecz zapanowałem nad niem... i wybiegłem. — Przesunął ręką po czole. Och! to bezwiedne i okropne błędzenie wczoraj po błotem pokrytych ulicach Warszawy... w deszcz, który chłodem swoim przenikał mi do kości. Trząsłem się od zimna, jak wilk szczękając zębami. Przycisnąwszy się do żelaznej poręczy, patrzyłem w czarną jak atrament wodę, rozbijającą się o filary, na których most się wspiera... Długie upływały godziny, a rzeka, jak magnes przyciągający żelazo, ciągnęła mnie ku sobie. Na szczęście, spotkał mnie w tym okropnym stanie adwokat Molski wiesz, brat owej młodej panienki, którą leczyłem przed dziesięciu laty... brat panny Eugenii Molskiej.

— Eugenii Molskiej?! Tak, przypominam sobie — i to mówiąc zrozpaczona staruszką siadła na krześle, zanurzając swoje chude palce w siwych włosach...

Po chwili podniosła pochyloną na piersi głowę i poprosiła Marcina, by jej przeczytał artykuł „Kuryera“. Gdy Żarski uczynił zadość jej życzeniu, ślepa słuchała uważnie, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, dygocąca całą, jakby gwałtowny wichur trząsał jej ciałem.

— O! — westchnęła głęboko i wzniosła ręce w górę, złożone, jakby do modlitwy. — Niestety! — rzekła — nieszczęście czeka cię mój synu.

Równocześnie rozgległ się odgłos dzwonka w przedpokoju.

Sabinka pobiegła drzwi otworzyć.

Lecz i Marcin wraz z córką rzucił się na przyjęcie przybywających. Trzej mężczyźni, z których jeden w mundurze, — stanęli w progu. Za nimi, na schodach, widać było dwóch policyantów.

— Kogo panowie szukają? — zapytał młody lekarz.

— Doktora Marcina Żarskiego.

— Ja nim jestem. Czego panowie żądają?

— Jestem pomocnikiem komisarza — rzekł oficer policyjny — i przychodzę pana aresztować.

— Aresztować?... za co?

Nie odpowiadając na zapytanie zastępcy komisarza, popchnął lekko przed siebie Marcina i wszedł z nim razem i agentami do jadalni.

Ślepa, spiorunowana trwogą, stała nieruchoma, a blade jej usta drżały febrycznie. Skurczone palce położyła na główce Sabiny, tak bladej i tak drżacej jak babka. W pośród ciasnego pokoju — pełnego dla jego mieszkańców drogiej wspomnień rodzinnych — młody lekarz hardo stawiał czoło przybyłym.

— Ależ dlaczego mnie panowie aresztujecie? Jakie popełniłem przestępstwo? Cała dzielnica zaświadczy pewnie, że jestem uczciwym człowiekiem... Och, głowa mi pęka... chyba oszaleję!

Wtedy urzędnik policyjny rzekł chłodnym tonem:

— Popełniłeś pan zbrodnię. Co go do tego skłoniło?... nie wiem. Chcę wierzyć, że człowiek z nauką i zajmujący zaszczytne stanowisko w społeczeństwie, dotąd pod każdym względem nieposzlakowany, jeśli zamordował, to chyba w gniewie. Lecz to, do mnie nie należy; o tem mówić pan będziesz z sędzią śledczym. Co do mnie, otrzymałem rozkaz aresztowania pana... więc go aresztuję.

— Chcesz zabrać z sobą mego syna? — rzekła ślepa, postępując naprzód. — Porywasz mi go, pozbawiając ojca małoletnich dzieci. Powiadam ci: niepodobna, aby syn mój był mordercą. Spójrz na niego, a przekonasz się, że jesteś w błędzie. Czy tak wyglądają mordercy?

— A jednak, pani daruje, syn jej zamordował hrabiego Jelskiego.

— To kłamstwo!... ohydne kłamstwo!

— Doktor Marcin Żarski był u hrabiego w chwili spełnienia zbrodni.

— Był!... bo ja go posłałam!

— W jakim celu?

— W jakim celu?... A! tego nie mogę panu powiedzieć. To tajemnica między mną a moim dzieckiem... tajemnica, do wyjawienia której nikt nas zmusić nie zdoła. Ani ja, ani mój syn... znam go pod tym względem dobrze... nie wyda jej przed nikim.

Ajenci, na dany przez przełożonego znak, zaczęli rozglądać się po pokoju. Marcin dostrzegł to ich milczące porozumienie się wzrokiem.

— Możecie panowie wszystko przeszukać. Oto klucze od szaf i komód, lecz na to, co macie najświętszego, błagam was, nie wchodźcie do sypialni mojej żony, bo byście ją widokiem swoim zabili...

— Niech pan doktor będzie spokojny — rzekł Maślak, tym razem, równie jak Piperstein wzruszony.

Ajenci szybko załatwili się z rewizją, która — jak to łatwe było do przewidzenia — nie wydała żadnego rezultatu. Poczem wrócili do jadalni.

Marcin, o piec oparty, stał nieruchomy. Dziewczynki obie, Sabina i Zosia — która nadeszła z pokoju matki i o wszystkim od siostry się dowiedziała — patrzyły na ojca zaskawionymi oczami. Przyłączył się do nich Janek. Otoczyli w troje Marcina, wyciągając do niego ręce, a równocześnie